



Anna Onichimowska

Zupa z gwoźdźcia

Anna Onichimowska

ZUPA Z GWOŹDZIA

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66719-50-7

Copyright © Anna Onichimowska

Projekt okładki: Marta Ignerska

*Rzeczy nie są takie, jakimi wydają się być
Nie są też inne*

Budda

Nie, nie wierzyłem w koniec świata. A jednak dokładnie 21.12.2012 r. mój świat rozsywał się na kawałki. I już nigdy potem nie miało być tak samo.

*

Dostałem list od czytelnika z pytaniem o mój osobisty stosunek do końca świata. *Będzie, czy nie będzie, panie redaktorze?* – dopytywał Andrzej z Rudy Śląskiej. *Bo jeśli tak, muszę się pospieszyć ze spłatą kredytu...* Uczciwość Andrzeja zaimponowała mi, a przekonanie o mojej wszechwiedzy wbiło w dumę. Odpisałem mu szczerze, żeby się nie spieszył, czym naraziłem się automatycznie bankowi BHZ, którego czytelnik był dłużnikiem. Zakładając, że ktokolwiek z tego banku czytuje nasze pismo, a zwłaszcza „listy do redakcji”. Od lat zajmowałem się tym właśnie działem. Doradzałem w konfliktach rodzinnych, rozstrzygałem obyczajowe wątpliwości, wysłuchiwałem zwierzeń. Czasami pisywałem sam do siebie. Bywałem zakochaną bez wzajemności siedemnastolatką, schorowanym emerytem i samotną kobietą w ciąży. Żona zarzuca mi, że już nie wiem, kim naprawdę jestem. Podobno przestała nadążać za moim sposobem myślenia i to ją niepokoi.

„Śpiąc, wyglądasz czasem na kogoś zupełnie innego” – powiedziała niedawno, a kiedy spróbowałem się dowiedzieć, na kogo konkretnie, zdenerwowała się, nie mogąc znaleźć odpowiedzi. „Jakbyś śnił sny należące nie do ciebie” sprecyzowała dzień później. „Patrząc na twoją twarz, czuję, że śpię z kimś, kogo nie znam”. Poradziłem jej, żeby lepiej nie przypatrywała mi się tak uważnie, skoro ją to wytrąca z równowagi. Podsunąłem nawet łagodne środki nasenne, ale tylko potrząsnęła głową, że nie chce.

Problem między nami polega na tym, że przez te 25 lat bycia razem ona często werbalizuje, czego nie chce, a rzadko, czego chce. Czuję, że z niezbyt oczywistych względów nie podoba jej się to co robię, mnie też nie bardzo, ale nie mam innego pomysłu. Chętnie pracowałbym w innej gazecie, nie jestem jednak wziętym dziennikarzem, moja ciekawość świata jest wybiórcza i fragmentaryczna i miewam kłopot z wgłębianiem się w problem. Tu żona ma rację – jestem powierzchowny, ponieważ wkurza mnie dzielenie włosów na czworo. Właściwie to mam szczęście, że mimo licznych redukcji i zmian jeszcze mnie nie wylali. To pewnie przez te listy, które ludzie potrzebują do kogoś pisać. O tym, że coraz częściej po mojej poczcie wiatr hula, wiem tylko ja. No i żona. Nigdy nie przyznałem się przed nikim z redakcji, że pisuję sam do siebie.

Kilkakrotnie istnienie gazety wisiało na włosku. Ratowaliśmy się zdjęciami golasów i preparowanymi skandalami, problematyczną popularność zdobyły przedruki mojego kulinarnego bloga „Zupa z gwoźdźcia” oraz kolumna promująca grubasów „Bez diety i wysiłku”. Słowem – dryfujemy po powierzchni, od czasu do czasu zahaczając o kry i rafy, ale od czegoś szalupy ratunkowe?

Koniec świata był fantastycznym newsem, na którym zerowała większość mniej i bardziej poważnych periodyków i portali. Obok wypowiedzi naukowców, wróżek i jasnowidzów, mnóstwo miejsca zajęły apokaliptyczne wynalazki i rady, co zrobić, żeby się nie dać.

Najlepiej są przygotowani Amerykanie i Rosjanie. W Tomsku na półkach sklepowych pojawił się „apokaliptyczny zestaw”, który idzie jak świeże bułeczki. Na zestaw składa się: opakowanie kaszy gryczanej, puszki mięsne lub konserwy rybne (do wyboru), zupka błyskawiczna z makaronem, świeczki, zapałki, kawałek sznurka, notes, długopis, jod, aspiryna, scyzoryk, mydło i wódka. Na Ukrainie zestaw zmodyfikowano – w wersji dla pań zamiast gorzałki zawiera butelkę szampana, dla panów – dodatkowo prezerwatywy. Po przeanalizowaniu wszystkich wyżej wymienionych produktów, doszedłem do wniosku, że jestem całkiem nieźle przygotowany. Przypomniałem sobie, że kaszy gryczanej mam nawet dwa opakowania i jedno mogę zużyć bez uszczerbku dla żelaznego zapasu dziś wieczór.

Myślę, że gdybym wszystko zaczynał od nowa, zostałbym bajkopisarzem albo kucharzem. Właściwie jestem po trosze jednym i drugim. Kilkanaście lat temu wydałem dwie książki – „O krasnalu, który niczego się nie bał” oraz „Myszka piratem”. Nie doczekały się żadnych recenzji i większość nakładu sam wykupiłem, ale bez reklamy i szumu medialnego, było to do przewidzenia. Próbowałem iść za ciosem, jednak wydawca nie zareagował na moje kolejne próby zaistnienia na rynku. Czytywałem je córce, jak była w odpowiednim wieku, słuchała bez sprzeciwu i mówiła, że jej się podobają. Podobały się też dzieciom sąsiadki, w ogóle nikt mi nie powiedział słowa krytyki, nawet żona. Jedyne, co jej przeszkadzało i przeszkadza do dziś, to paki książek, zawalające piwnicę. Kiedyś je rozdaję, jednak wciąż mam problem, żeby się z nimi rozstać.

Gotować uwielbiałem od zawsze i całe szczęście, że żona nigdy nie próbowała konkurować ze mną w kuchni, bo tego bym nie zniósł. O ile nie znam wielu bajkopisarzy celebrytów, o tyle kucharzy mógłbym wymienić około dziesięciu, z pamięci i to natychmiast. Ostatnio zawód ten niesamowicie wprost zyskał na prestiżu. Nie miałbym nic przeciwko byciu celebrytą, tak mi się przynajmniej wydaje. Żona mogłaby wreszcie zakładać swoje koktajlowe sukienki, które namiętnie kupuje na wszystkich wyprzedazach i może byłaby mniej sfrustrowana. W telewizji programy kulinarne biją rekordy oglądalności, a ich autorzy prześcigają się w pomysłach, dokąd tu nie pojechać, a wszystko pod pretekstem kolekcjonowania smaków. Nie jestem fanem podróży i przyrządzam potrawy z tego, co mam pod ręką, nie narażałbym więc podatników na opłacanie swoich fanaberii. Być może prawdziwi kucharze miewają zawsze pod ręką mąkę kasztanową, ser z jaka, czosnek niedźwiedzi i olej z pinii, ale przysięgam, że się bez tego wszystkiego obywam, a i tak efekty bywają spektakularne.

Swoimi doświadczeniami dzielę się na blogu „Zupa z gwoździa”, wspominałem już o nim przelotnie. Prostota proponowanych przeze mnie przepisów ściąga na mnie gromy rozmaitych szyderców i prześmiewców, jednak moim zdaniem w tym morzu konkurencji dobrze się czymś wyróżniać. Oprócz kilku pochlebnych opinii, doczekałem znacznej ilości zjadliwych komentarzy, w których wymyślano mi od prymitywów, kmiotków i słoików, chociaż co jak co, ale mógłbym, gdyby mi na tym zależało, udokumentować swoje szlacheckie pochodzenie do szóstego pokolenia wstecz. Wystarczy, jeśli powiem, że cioteczna prababka miała zamek w Transylwanii. Może nawet mógłbym go odzyskać, gdybym się bardzo uparł.

Nie rozmawiałem o tym nigdy z żoną w obawie, że zbyt szybko opanuje jej wyobraźnię.

Czasem nie mogę opędzić się od myśli, że moja żona jest chciwa. Tyle rzeczy chciałyby mieć. I to, i tamto. A niczego się nie pozbywa. Ma mnóstwo ubrań w rozmaitych rozmiarach, torebek, zdjęć, świnek-skarbonek, opróżnionych najwyżej w połowie flakonów z perfumami, szkoda miejsca i czasu, żeby to wyliczać. Tak czy owak, w zamku nareszcie miałyby dosyć miejsca na to wszystko i jeszcze parę kilometrów do zapelnienia w przyszłości. No ale przyszłości już nie ma. Miesiąc i tyle. Za mało, żeby odzyskać zamek, za mało na większość rzeczy, na które miałyby się jeszcze ochotę.

Podobno kobiety namiętnie kupują, kiedy są w dołku. Nie mogę nazwać żony zakupoholiczką, jednak nic nie potrafi jej tak poprawić nastroju jak nowe buty. Nie mam jej tego za złe, chociaż mój sposób jest znacznie tańszy. Wystarczy że popatrzę sobie na pewną małpę z Borneo i już mi lepiej. To niebywały rozbuchany i przesadzony w swoim rysunku żart Stwórcy, zwany nie bez powodu nosaczem.

Od kiedy go zobaczyłem, po prostu mi odbiło. Myślałem o nim regularnie i częściej niżby wypadało oglądałem jego zdjęcia w necie, szczególnie właśnie w momentach spadku nastroju. Moja żona twierdzi, że przechodzę andropauzę i stąd u mnie te wahania – od euforii po depresję. Euforycznymi nazywa stany, kiedy udaje mi się coś wyjątkowo dobrego

ugotować albo przejechać miasto unikając korków. Depresyjnymi wszystkie pozostałe. Zakładając, że ma rację, chęć oglądania nosacza jest bardziej niż uzasadniona.

Każdy ma własne sposoby odreagowywania stresu. Ciekawe, że nie bardzo już pamiętam, jak sobie z tym radziłem wcześniej, choć było to ledwie rok temu z kawalkiem. Może właśnie wówczas wkroczyłem w andropauzę i wcześniej żadnych antydepresantów nie potrzebowałem. Jednak moim zdaniem, żona nie powinna mieć mi tej drobnej słabości za złe. Nie upijam się, nie jestem hazardzistą ani dziwkarczem, nie czepiam się byle czego, myję się dwa razy dziennie. Czasem zerknę sobie na nosacza i tyle. Staram się zresztą robić to dyskretnie i bez ostentacji, ponieważ kiedy po raz kolejny żona przyłapała mnie z nim nos w nos stwierdziła, że powinienem się leczyć. I że jestem perwersyjny. No, tu mi zabiła ćwieka. Bo może i jestem, ale nawet jeśli tak, na pewno nie ma to nic wspólnego z tą małpą. Jak powszechnie wiadomo, diabeł tkwi w szczegółach, a szczegół u nosacza taki że ho ho. Stąd jak sądzę sugestia perwersji.

Nie to, że wierzę w rychły koniec świata, ale tyle się o tym mówi i pisze, że nie sposób w ogóle nie brać tego pod uwagę.

W leśnym domku mamy bardzo głęboką piwnicę. Kiedyś teść próbował hodować w niej pieczarki i lał bez opamiętania wodę, więc jest dość wilgotna, trudno, na schron w sam raz. Tylko jak to niby miałyby w praktyce wyglądać? Że w dniu zero bierzemy urlop – my plus córka z zięciem i ich jamnikiem, o ile udałoby im się wziąć wolne – jedziemy sobie do tego domu z „apokaliptycznym zestawem” rzecz jasna, zamykamy w piwnicy i czekamy, co będzie? Próbowałem o tym rozmawiać z żoną, nie potraktowała mnie poważnie. Zwróciła mi cierpko uwagę, że urwał się wieszak w łazience i może tym bym się wreszcie zajął, zamiast końca świata.

Ostentacyjnie zabrałem się za przygotowywanie kolacji. Kotlety z kaszy gryczanej (ugotowana kasza, jajka, cebula, pieczarki albo jakiś ser, przyprawy, może być natka albo szczypiorek). Zamieściłem przepis na blogu, podobno był nie dokładny i jednym się kotlety rozlażyły, inni nie wiedzieli, w czym je obtoczyć, a jeszcze inni marudzili, że nie zrobią, bo sam opis im nie smakuje. Ich sprawa. Ja lubię, żona też, a w tym konkretnie momencie chodziło mi o zajęcie się czymkolwiek, co usprawiedliwiłoby niechęć do montowania wieszaka.

Prawda jest bolesna: jakiś czas temu pożyczyłem komuś wiertarkę i nie mam pojęcia, komu. Wypytywałem w pracy, nikt się nie przyznał. Podejrzewam szwagra, on też się wypiera. Gdybym powiedział żonie, o co chodzi, zrobiłoby się piekło. W sposób naturalny, wiertarka należała również w połowie do niej, a jak już wspominałem, ona bardzo nie lubi niczego wypuszczać z rąk. Wolę już więc uchodzić za lenia i abnegata, któremu kompletnie nie przeszkadza, że ręcznik wisi sobie na haczyku. Bo nie przeszkadza.

Do kotletów z kaszy podałem surówkę z kiszonej kapusty – samo zdrowie. Jedliśmy w milczeniu. Myślałem trochę o kombinacjach różnych kasz ze sobą nawzajem, trochę o liście, który dostałem od żonatego geja z rozdrapami moralnymi i bardzo mało o nosaczu. Nie mam pojęcia, o czym myślała żona. Kiedy podniosłem się, aby wstawić wodę na herbatę, zaproponowała scraable. To jedna z moich ulubionych gier, jednak dzisiaj czułem się jeszcze bardziej aspołeczny niż zazwyczaj.

– Wolałbym nie. – Pokręciłem głową. Zaraz potem przestraszyłem się, że powróci temat wieszaka, więc spiesznie zredagowałem swoją wypowiedź od nowa: – Mam sporo pracy, lecz jeśli bardzo chcesz...

Jeśli z czymś nawalę, to nie ze swojej winy, mówiły moje oczy, ale patrzyła w okno.

– Chcę – przyznała. – Miałam okropny dzień.

Pewnie remanent, reklamacje albo upierdliwy klient. Pralka, lodówka i te inne rzeczy na elektryczność, ze szurkiem. Najciekawsze opowieści dotyczyły zwykle klientów, ale na wszelki wypadek wybrałem scraable.

Gra posuwała się wolno – mieliśmy na zmianę same samogłoski albo spółgłoski, krzyżówka zrobiła się zwarta jak stado stłoczonych w kącie baranów, sam czułem się jednym z nich, próbując ułożyć słowo za pomocą liter HŻŁŁUUÓ. W rezultacie wygrała żona, niewielką przewagą dziewięciu punktów.

Zbierając kostki do woreczka, powiedziała nagle:

– Ostatniej nocy mamrotałeś „serafin”. Kilkakrotnie.

– Serafin? – zdziwiłem się. – Jesteś pewna? Może „szafran”? To bardziej prawdopodobne.

– Jestem pewna. Nie pamiętasz, co ci się śniło?

Wzruszyłem ramionami.

– W życiu nie myślałem o serafinach.

– To anioły ogniste. Najważniejsze w hierarchii.

Wyraźnie kołatały się jej wciąż po głowie jakieś strzępy wiedzy. Kiedyś chciała zostać zakonnicą. Potem wrózką. W rezultacie skończyła psychologię i sprzedaje sprzęt AGD.

– No i co z tymi aniołami? – Ziewnąłem.

Roześmiała się.

– Właśnie dokładnie o to pytam ciebie. Może mają jakiś związek z końcem świata?

– Pewnie tak – przyznałem. – Obwieszczają, jak sądzę.

Jestem pewien, że się przesłyszała i że śniłem jednak o szafranie. Jako zdeklarowany ateista nie wierzę, żeby nawet w snach pojawiały mi się istoty z zaświatów. Chyba, że byłem wówczas kimś innym. Cokolwiek miałyby to znaczyć.

Wątróbki na gnieździe

Dwudziesty pierwszy dzień przed końcem świata

Moja żona mówi, że się spóźnimy. Stoimy w korku, a ona wciąż próbuje rozmawiać przez komórkę, która nie działa. Nie wiadomo dlaczego nie działa, jeszcze przed chwilą wszystko było okej. Mówię, żeby wyjęła baterię i kartę SIM, córka dodaje, żeby wyłączyła i włączyła.

– Już to wszystko zrobiłam – rzuca żona.

Widzę, że jest wściekła, chociaż udaje, że nie jest. Nawet się uśmiecha i nawet jej z tym ładnie, z tą mieszaniną wściekłości i uśmiechu. Mogę to wszystko dokładnie obserwować, bo wciąż stoimy.

– Trzeba było pojechać inaczej – mówi.

– Niby jak? – pytam.

Więc mi tłumaczy, a ja jej odpowiadam, że tam jest zawsze jeszcze gorzej.

– Nie wiem, czy można gorzej albo lepiej stać – słyszę z tyłu.

Jedziemy do teatru. To jest nasz prezent dla córki, na rocznicę ślubu. Premierowy spektakl, a potem kolacja. Umówiliśmy się z zięciem przy kasach. Wciąż mamy szansę wejść na salę przed ostatnim dzwonkiem. Zięć pewnie już czeka. Jest zawsze przesadnie punktualny, to znaczy przychodzi wszędzie sporo wcześniej i potem krąży pod domem, żeby nacisnąć dzwonek dokładnie o czasie. Obserwowałem to kiedyś przez okno. Jak tak chodzi i co chwila patrzy na zegarek. Może wszyscy stomatolodzy tak mają, nie wiem. Jest jedynym, którego znam osobiście. Nie korzystam z jego usług, aby nie przenosił na mnie ewentualnych domowych frustracji i żalów. Nie zwołałem go wówczas, zachęcając do wcześniejszych odwiedzin z delikatności, a nie z sadyzmu. Bo mogłoby mu się zrobić głupio. Mnie by się na pewno zrobiło.

– Zielone!!! – słyszę, więc ruszam posłusznie, aby za pół minuty znowu się zatrzymać. Wszyscy uciekają z naszego pasa. Pewnie coś się rozkraczyło albo znów latają dziurę w jezdni. Jeden diabeł.

– Robisz nam na złość, czy jak? – W głosie żony brzmi histeria.

– Nie rozumiem – mówię zgodnie z prawdą.

– Bujasz gdzieś w obłokach, zamiast się postarać coś zrobić. O czym myślisz, no powiedz.

Nie powiem, za nic na świecie, dla naszego wspólnego dobra.

Córka odbiera komórkę.

– Jesteśmy dopiero w połowie drogi... – kłamie, nie wiem po co. – Nic na to nie poradzę – podnosi głos. – Jak zwykle, tak... Trzeba było... Jak chcesz... To ty się wściekasz...

Udaje mi się zmienić pas. Jedziemy ze dwieście metrów, chcę wrzucić trójkę, gdy znów wszystko staje.

– Za skrzyżowaniem będzie już z górki. – Staram się brzmieć optymistycznie.

Do przedstawienia mamy wciąż dziesięć minut.

– Wiktor kupił sobie od kogoś bilet – komunikuje córka.

Wiktor to jej mąż, którego nie wiedzieć czemu często nazywam Franciszkiem.

– Po co mu dwa? – próbuję być dowcipny.

– Może dobrze, żeby chociaż on obejrzał całe przedstawienie. Opowie nam, co było na początku.

– To Szekspir – przypominam.

– Jedź!!! – krzyczą obie.

Przejeżdżam skrzyżowanie na czerwonym, łapiąc kątem oka błysk kamery, to będzie bardzo kosztowny prezent, myślę, kombinując jednocześnie, jak najsprytniej podjechać do teatru, żeby dało się zaparkować. Ale przecież i tak one wiedzą lepiej, więc proszę o radę.

– Ty jesteś kierowcą – odcina się żona, a córka dodaje, że już i tak wszystko jedno.

– Nie rozumiem, co nam szkodziło ruszyć kwadrans wcześniej – pogrąża mnie któraś z nich, bo to naturalnie ja się grzebałem.

– Zrobiłem to celowo – przyznaję wreszcie, ponieważ i tak wszystko co powiem zostanie użyte przeciwko mnie. – Makbet rozkręca się dopiero w trzeciej scenie „Tak ponurego dnia i tak pięknego,

Jak żyję, nigdy jeszcze nie widziałem” – rzucam cytatem, efektownie wpasowując się w miejsce między fordem a czymś tam, mocno zabłoconym.

– No i zdążyliśmy. – Uśmiecham się niedbale.

Do rozpoczęcia przedstawienia mamy wciąż dwie minuty. Przepychamy się do swoich miejsc, gdy gaśnie światło. Ktoś na nas syka niecierpliwie, inny jęczy, że niby przeszliśmy mu po stopach, myślę, że depcze głównie córka, próbując mimo niesprzyjających okoliczności wypatrzeć gdzieś swoją drugą połowę. Kiedy kurtyna się unosi, siedzimy.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI